



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Krokodyl gangesowy. (str. 40).

395 dni wśród lodów polarnych.

Skreśliła

Dr. M. Stefanowska.

(Dokończenie).

„Podczas tej długiej nocy zajmowaliśmy się niekiedy rybołówstwem, lecz codziennem naszym zatrudnieniem było utrzymywanie ścieżek na lodzie; wykopywanie obserwacyjnych postów w śniegu, oraz zbieranie, często w odległej miejscowości, czystego śniegu, dla przyrządzania zeń wody do picia. Oprócz tych zajęć ogólnych, każdy z nas zamierzał wykończyć jakąś ważną pracę naukową, zanim ukaże się słońce. Niestety, prawda wyznać mi nakazuje, że każdy z nas wykonał nader drobną część tego, co zamierzał.”

„Energia nasza znikła w miarę zwiększania się ciemności. Niezmiernie trudno nam było skupić uwagę na jednym przedmiocie i doszliśmy nakoniec do takiego stanu apatyi, że przestały nas interesować rezultaty naszych prac. Lecz nie dlatego bynajmniej, aby owe prace były zbyt trudne, albo żeby wymagały wielkich wysiłków fizycznych; ogromne znużenie, jakie nas opanowało, wypływało z nieznośnej jednostajności. Upływały dni, tygodnie i miesiące, a życie szło trybem niezmiennym. Wstawaliśmy zawsze o tej samej godzinie, spożywaliśmy zawsze jednakowe pokarmy, przykucili do jednego zajęcia; nawet rozmowy nasze kręciły się zawsze koło tych samych przedmiotów, wówczas gdy dokoła nas roztaczał się wciąż tenże sam obraz pustyni i lodów.”

„Usiłowaliśmy wyrwać się z tego odrętwienia i próbowaliśmy ożywić nasze rozmowy, poruszać tematy wesołe i przyjemne, ale to zmuszanie się do wesołości nie miało powodzenia; śmiech dźwięczał nieszczerze, i znowu zapadaliśmy w zwykły stan apatyi; tak nas opanowała zhora czarnej nocy antarktycznej, że na jej obraz i podobieństwo stawali się zimni, smutni, obezwładnieni.

Początkowo stan naszego zdrowia był zadawalniający, żaden z członków wyprawy nie czuł znużenia podróży; jednakże zaczęliśmy jeść bardzo mało; zjawiał się nieprzewyciężony wstręt do konserw, których mieliśmy wielkie zapasy. Spróbowaliśmy wówczas jeść świeże mięso pingwinów, ale większość osób nie mogła znieść tego mięsa, przesiąkniętego zapachem ryb.

Do złego stanu żołądka, spowodowanego zbyt długim używaniem konserw, przyłączyło się jeszcze inne niepowodzenie. Bezustanna ciemność, samotność, zimno, częste burze i wilgoć złożyły się na to, aby wywołać w każdym z nas stan osłabienia, któryby nazwać można było *anemią polarną*. Cera nasza stała się żółto-zielona, niepokojące zaburzenia w mózgu i sercu objawiać się zaczęły. Uczuliśmy się w końcu zupełnie niezdolni do jakiegokolwiek wysiłku umysłu, do skupienia uwagi na pewnym przedmiocie, a jeden z marynarzy o mało nie dostał pomieszania zmysłów; uratował go jedynie powrót słońca. Na domiar złego w owym smutnym czasie zostaliśmy okryci żalobą; nieodżałowany towarzysz nasz porucznik Danco, pierwszy odczuł na sobie wpływ anemii. Wraz ze zniknięciem słoń-

ca rozpoczął się zachód jego życia; wreszcie zgasł 5 czerwca. Trudno opisać bolesne wrażenie tej śmierci i pogrzebu pod osłoną czarnej nocy, wśród śniegiem okrytego lodu.”

„Powoli wlokły się noce bez dni, codzień unosząc część naszej energii moralnej. Smutna śmierć Danca, wciąż wzmagające się osłabienie nasze, pozostawiało nam niewiele nadziei na przyszłość. Należało koniecznie zapobiedz znikaniu sił i zdrowia i oto 21 czerwca uradziliśmy, aby zmusić się do jedzenia świeżego mięsa. Posiadaliśmy wielki zapas mięsa pingwinów i fok, przechowanego w lodzie. Zmarznięte mięso pokrajano na kawałki i ugotowano w tłuszczu. Smak jego okazał się wprost odpychający. Wyobraźmy sobie, naprzykład, wołowinę, która przez kilka miesięcy mokła w rybnym tranie i którą następnie ugotowano we wstrętnym tłuszczu, a da to nam niejakię pojęcie o potrawach spożywanych pod biegunem. To też początkowo wstręt do tego mięsa był trudny do pokonania, ale powoli węch i smak zostały przytępione, dzięki czemu mogliśmy codziennie niemal jeść świeże mięso, a to wzmocniło wkrótce wątłe nasze siły.”

Podczas długiej nocy antarktycznej sklepienie niebios zawsze miało jednakowy wygląd. Gwiazdy błyszcząły na niebie zarówno w południe jak i o północy. Jedynie zjawianie się księżyca stanowiło pewno rozrywkę i witane było z radością, gdyż przy jego bladem świetle mogli odbywać przechadzki na świeżem powietrzu, a czasami upolować pingwina.

Zorza południowa widziana była niemal codziennie w kwietniu, maju, lipcu i sierpniu, lecz nigdy nie posiadała ani świetności blasku, ani fantastycznych kształtów, właściwych zorzy północnej.

III. Powrót słońca.

„Podczas ostatnich trzech tygodni nocy antarktycznej biła tak wielka jasność od północnej strony nieba, iż spodziewałyby się można było wschodu słońca, gdyby nie to żeśmy wiedzieli na pewno, którego dnia ono ukazać się miało. Na dwa dni przed prawdziwą datą mieliśmy zdziwienie, że słońce już wschodzi; 24 i 25 lipca widzieliśmy na widnokręgu, toczącą się ciemną kulę, ale słońce weszło dopiero 25 lipca!”

Tarcza jego była biała, światło słabe, ciepło nieznaczne. Jako istotny bodziec do życia słońce odkryło podróżnikom wiele źródeł rozkoszy nawet w tej smutnej krainie lodu. Dzień stawał się wciąż dłuższy, aż wreszcie 16 listopada ciemność zupełnie zwalczoną została. Nastąpił okres długiego dnia słonecznego, pozbawionego nocy.

Wraz z rozpoczęciem tego okresu przypadają największej mroźne dni; temperatura dochodziła od 30 do 40 stopni niżej zera, a 8 Grudnia w nocy mroz doszedł nawet do 45 stopni. Pomimo tak surowego zimna podróżnicy uczuli się odrodzeni do życia.

Nareszcie pojawiły się pierwsze oznaki tajania lodu. Powoli bryły lodu pękały, a między oddzielnymi ich wysepkami ukazywała się woda; wraz z tem zabłysło życie, pojawiły się wieloryby, foki i pingwiny; rozpoczęło się polowanie.

Dokoła statku panowało teraz wielkie ożywienie; podzieleni na grupy ludzie mierzyli głębokość morza, drago-

wali dno jego; naprawiali uszkodzenia statku, przygotowując się do podróży. Jednocześnie robiono obserwacje meteorologiczne, słowem pod ożywczem techniem słońca wszyscy rzucili się do pracy ze zdumiewającą wytrzymałością.

Olbrzymie pole lodowe, w którym „Belgica” została uwięziona nie zmieniało jednak wcale swych rozmiarów: było ono większe od innych i posiadało w średnicy 3 kilometry, a 2 do 8 metrów grubości. „Dokoła nas między polami wolnemi utworzyło się wiele kanałów, po których można było żeglować, gdybyśmy mogli byli uwolnić się z naszego uwięzienia. Zamierzaliśmy podczas letniej pory odbyć podróż do archipelagu Palmer, ale oto już lato miało się ku końcowi, a nasze pole lodowe nie pękało. Trzeba było zaniechać tej nadziei i wynaleźć jakiś inny sposób oswobodzenia statku.” Po kilku próbach, doktor Cook zaproponował, aby wyrąbano w lodzie kanał tak szeroki, iżby statek mógł przejść po nim i dostać się do morza niezamarzłego. Początkowo projekt ten wydawał się niemożliwym do wykonania; przestrzeń dzieląca statek od morza miała 800 metrów; dla wykonania tej pracy było tylko 16 osób, a z narzędzi posiadano pół tuzina pił zbyt krótkich do tak grubego lodu. Rozpoczęto jednak pracę nie w nadziei dopięcia celu, ale więcej dlatego, aby dać zatrudnienie ludziom i niedopuszczyć w nich powtórnego upadku ducha z powodu tak krytycznej pozycji.

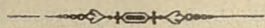
Począwszy od kapitana aż do kucharza, cała załoga podzielona na trzy grupy, pracowała kolejno po 8 godzin dziennie. Jak prawdziwi robotnicy puścili w ruch piły, łomy, rydle i środki wybuchowe, pracując dzień i noc przez całych pięć tygodni. Nakoniec 14 lutego parowiec opuścił kanał i dostał się do swobodnego morza, a załoga jego miała to wewnętrzne zadowolenie, że przy pomocy Bożej oswobodzenie zawdzięczała swym własnym trudom.

Rezultaty tej niezwykle ciekawej wyprawy będą później dopiero opracowane i ogłoszone; zaznaczmy tu jednak pobieżnie najważniejsze jej zdobycze!

1) Najdalszy punkt na południu, do którego „Belgica” dopłynęła, znajdował się pod 71° stopniem szerokości, a 87° długości geograficznej, czyli, że wyprawa ta zbliżyła się do bieguna o kilka stopni więcej niż wszystkie poprzednie wyprawy.

2) Mierząc głębokość morza wykryto, że woda pokrywa te obszary, o których dawniej myślano, że są lądem stałym.

3) Antarktyczna wyprawa belgijska nabytem doświadczeniem utorowała drogę przyszłym wyprawom do tegoż bieguna.



Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Davemu kręciły się łzy w oczach. Spoglądał z rozpaczą na matkę, jakby spodziewał się że go obroni, ale matka milczała. Doktor przerwał drażliwą rozmowę, mówiąc

że hrabia Davy istotnie blado wygląda, ale to ustąpi przy wycieczkach w góry i nieodłącznych od nich trudach. Chłopicz skrzywił się na wzmiankę o trudach, bo do żadnych nie był przyzwyczajony, a milady spytała, czy w Zakopanem są do wynajęcia osiołki, lub konie pod wierzch łożone. Objasniono ją, że osiołków niema, ale koni jest dosyć chodzących doskonale po górskich ścieżynach; doktor jednak wyraził się z naciskiem, że Davemu radzi więcej chodzić niż jeździć, i że tylko używając dużo ruchu może nabrać lepszej cery.

— Co pan mówisz o tutejszym klimacie? — spytała milady — czy nie za ostry dla mego syna?

— Klimat tatrzański, zdaniem mojem, wyższość ma nad alpejskim, pod względem zdrowotnym — odrzekł — Na wysokościach takich, gdzie tam rozpościerają się jeszcze lodowce, tutaj rosną ziemniaki. Tam są znaczne różnice między stroną oświeconą promieniami słońca, a pogrążoną w cieniu, oraz między temperaturą dnia i nocy, a tu o wiele mniejsze. Na górach szwajcarskich podczas nocy, w lecie, bywa po kilka stopni mrozu, a w Tatrach to się nie zdarza, chyba wyjątkowo; tam przeto więcej jest sposobności do zaziębienia się, niż tutaj.

— Wobec takich warunków ciepłoty, o ileż łagodniejszym jest klimat Tatr, o ile bezpieczniejsze podróżowanie po tych górach — dodał malarz.

— Znajdujemy się więc w nowej Ameryce, gdzie są nieprzebrane skarby zdrowia — powiedziała z przekąsem. — Dziwna rzecz, że przez tyle wieków nikt o niej w Europie nie wiedział, a Szwajcaryca słygnęła, jak słynie, daleko i szeroko. Któż był tym nowym Kolumbem, co dał ją poznać światu?

— Doktor Tytus Chałubiński. On to naprawdę odkrył Zakopane, bo chociaż przed nim przyjeżdżali tu ludzie żądni pięknych i silnych wrażeń, on dopiero ocenił własności lecznicze tych gór, rozmiłował się w Tatrach i zaczął przysyłać tu chorych.

Podczas gdy państwo zajęci byli rozmową, służba myślała o posiłku. Jack, kucharz lady Chester, personat okazałej postawy, porozumiewszy się na migi z gaździną i uzyskawszy od niej jaja, mąkę i masło, przypasał biały fartuch, który miał zawsze w swym worku podróżnym, wraz z najniezbędniejszymi przedmiotami. Na głowę włożył czapkę śnieżnej białości, jako oznakę swego dostojenstwa, i zabrał się do pełnienia urzędu z taką samą dokładnością i powagą, jakby się znajdował w zamku Rochdale. Jerry zaś, mały i zwinnie jak wiewiórka, groom baroneta, odsunął stół od ściany i nakrył go białym irlandzkim obrusem; następnie przyniósł do izby puzdro skórzane z mosiężnym okuciem i wy dobył zeń srebrne, wyślacane sztucce i talerze, pięknie cyzelowane i zdobne w herby i monogramy. Górąle pootwierali usta z podziwu — bo od czasu jak słynny Janosik chodził na zbój i łupił w górach kupców węgierskich, nie widziano tu tak wielkiego bogactwa. Jerry wyjął także kieliszki, ustawił starannie na stole, położył biały chleb, masło, paszтет, postawił butelkę xeresu i podał na półmisku gorący omlet z szynką. Sir Edward spojrzawszy na stół przelotnie, kazał powiększyć liczbę nakryć i współtowarzyszów uprzejmie do wieczery zapraszał; ale wymówili się wszyscy strudzeniem, oraz potrzebą spoczynku, i opuścili „czarną” izbę wraz z góralami, których odesłano do domu.

Gdy przechodzili przez sień, drzwi były szeroko otwarte do izby „białej,” w której na prędce urządzono wygodną sypialnię. Malarz przystanął w progu na chwilę. Była to ozdobna świetlica, stanowiąca niejako miejsce odświętne, gdzie składano przedniejsze sprzęty i ubranie, a może i chowano pieniądze — bo małe, jedyne okienko, opatrzone było grubą żelazną kratą. Wszystko tam lśniło czystością: kredens był misternie wyrzynany, a na ścianach wisiały święte obrazy o jaskrawych kolorach, niedawno widocznie nabyte, jak to widać było po połysku złoczonych ram. Na środku stał piękny, charakterystyczny stół, a pod oknem poczerniała od starości skrzynka rzeźbiona, bardzo oryginalna.

nalna. Pod ścianą stało szerokie łóżko z drzewa bukowego, z trzema wyrzezanymi w głowach liliami, napuszczonymi farbą.

Fanny, towarzyska milady, wraz z gaździną krzątały się po izbie. Wniesiono olbrzymie kufry, wydobyto wykwintną pościel, porozkładano i na ścianach porozwieszano kobierce. Przy łóżku ustawiono składaną podróżną gotownię, przy której nie brakowało nawet srebrnych do świec lichtarzy. Surowe cokolwiek kształty świetlicy, poweselały od tego zamorskiego komfortu i od ognia z gałęzi smrekowych, trzaskającego na kominie. Na płycie gotowalni stała maleńka spirytusowa maszynka, paląca się bladym, niebieskim płomykiem. Do srebrnego naczynia wlała Fanny kilka kropli z flakonu i rozszedł się delikatny, subtelny zapach, modnych chińskich perfum Ylang-ylang.

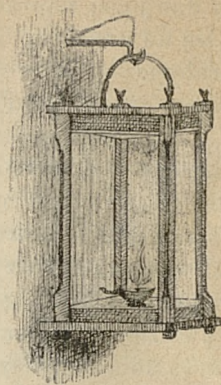
Malarz wzruszył ramionami.

— To już czysta herezya — szepnął. — W kraju, gdzie na kominie płoną wonne smreki, gdzie ściany chat pachną równie pięknie jak ściany indyjskich świątyń, sandałowym wykładane drzewem; w kraju gdzie powietrze przesycone ozonem, jest tak orzeźwiające, jak nigdzie w Europie, zanieczyszczać je chińskimi paskudztwami! Coby na to Matlakowski powiedział!

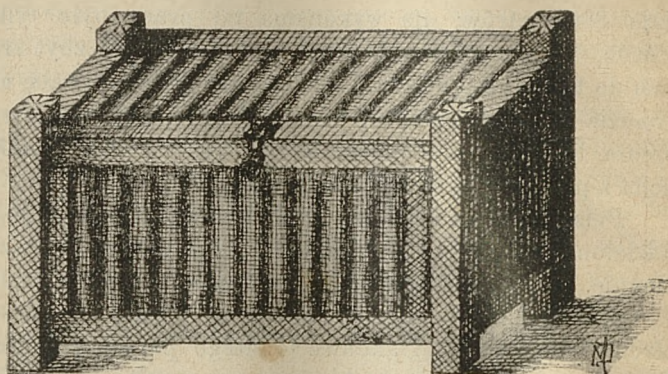
Trzem turystom dobrze było na poddaszu, czyli po góralsku „na naizblu” na sianie okrytem derami. Gazda nie dał im świecy, ani lampki, bo to niebezpiecznie pod dachem z desek, w obec nagromadzonego obfitego palnego materiału, ale zawiesił im na haku latarnię w drewnianej obsadzie, której dziwnie proporcjonalne kształty, były wymownym stwierdzeniem tego, co profesor mówił baronetowi o poczuciu proporcji i harmonii u tatrzańskiemu ludu. W latarni płonął kaganek podobny do tych, z jakimi jeszcze w rzymskich chodzono katakumbach: gliniane z olejem naczynie, a w niem szmatka zastępująca miejsce knotu. Światło padało wprost na dużą wielce oryginalną skrzynię, ozdobnym pokrytą cyfrowaniem. Malarz głośno

powtórzył teraz zdanie, wypowiedziane już przez doktora Matlakowskiego, że tylko w Pompei znaleźć można takie rozlanie form piękna na przedmiotach codziennego użytku, jakkolwiek bardzo skromny i lichy materiał do tego służy, bo nie marmur, ani bronz, tylko drzewo.

Profesor Strand nadmieniał, że baronet chce kupić łyżnik dla Muzeum brytańskiego i rozmowa znowu obracała się dokoła Anglika, którego osobistość wszystkich zaciekawiała. Malarz pokazał towarzyskom szkic tej charakterystycznej głowy w swym notatniku, i obaj uznali że podobieństwo jest uderzające, a twórca szkicu zwrócił się do Stranda z zapytaniem, czy ten jego dawny znajomy jest rzeczywiście takim amatorem kwiatów, że aż z jednego końca Europy, na drugi jedzie szukając róży bez kolców?



Latarnia góralska.



Skrzynia góralska.

— Czy jest amatorem kwiatów w ogóle, nie wiem — odrzekł Strand po namyśle — ale, że bardzo lubi róże, o tem wątpić nie można. Ma on u siebie w Rochdale wspaniałe rosarium, w którym znajduje się aż pięć tysięcy odmian róż najrozmaitszych.

— Pięć tysięcy odmian samych róż? — zawołał malarz z najwyższem zdumieniem — ależ to brzmi jak bajka z Tysiąca nocy! Nie wiedziałem, że jest na świecie taka liczba odmian jednego rodzaju botanicznego. Co za bogactwo!

— Jest to oddzielna część ogrodów, zajmująca ogromną przestrzeń i otoczona żywoplotem z głogu. W czasie mej bytności w Rochdale, cały ten płot był w rozkwicie.

W rosarium znajdują się róże wszystkich niemal krajów świata, niejednakowej natury. Czołgają się tam one przy ziemi, pną się po kratach, zdobią krzewy, płaczą na pninach, albo dumnie wznoszą wspaniałe korony. Od drobnych kwiatków róży bukietowej (rosa Polyantha), aż do olbrzymów (Paul Neyron), których kwiaty dochodzą średnicy spodków od filiżanek, wszystkie się tam znajdują. Rosną tam one podłużnymi pasami, podług barw, a każda barwa składa się z kilku rzędów, czyli odcieni, począwszy od najmocniejszego do najsłabszego. Barwy zlewają się z sobą nieznacznie, przechodząc jedna w drugą, i wyglądają niby tęcze, zwłaszcza gdy się na nie patrzy z pewnej wyniosłości. Ja właśnie patrzyłem z takiego wzniesienia, ze stojącej na wzgórzu, pięknej stożkowej altany, pokrytej pnąciami różami, dokąd mnie sir Edward zaprowadził, prosząc bym rzucił okiem dokoła. Gdy spojrział na to królestwo róż w całym jego przepychu i wspaniałości, przypomniały mi się naprawdę bajki Szecherazady. Począwszy od kwiatów ciemnoczerwonych, prawie czarnych, z aksamitnymi płatkami, idzie kolejno cała gama kolorów,



Zapadnięcie się góry w Amalfi (str. 40).

aż do białej. Cudowne są pasy róż złocistych, herbatnich, zlewające się z bladuróżowymi przez różę La France, której płatki mają obu tych barw odcienie. Prześliczne są też pasy róż paskowanych i nakrapianych. Możecie panowie sobie wyobrazić, co za zapach jest w tem królestwie róż, gdy przyjdzie pora kwitnienia. Już zdaleka podróżny czuje, że zbliża się do Rochdale! Gatunki i odmiany nie wytrzymujące klimatu angielskiego, są hodowane w cieplarniach dotykających pokoi zamkowych.

— Jestże to tylko pańska fantazyja, czy mania dziwaka — zapytał Jakób?

— Może prawdziwe zamiłowanie, złączone z celem praktycznym — zauważył malarz.

— Sir Edward jest naprawdę wielkim róż miłośnikiem — rzekł Strand — ale szkółki jego rosarium dostarczają róż całej niemal Anglii.

— To się zowie połączyć przyjemne z pożytecznym — zadecydował doktor. — Teraz już mniej się dziwię, że szuka w Tatrach róży bez kolców.

— A jednak... — zaczął profesor i uciał nagle.

— Co takiego? — zawołali obaj jednocześnie, uderzeni szczególnym tonem jego słów. — Powiedz pan co masz na myśli?

— Eh, nic... — odrzekł, zbywając — tak sobie... powiedziałem wyraz bez znaczenia.

Doktor, trzymający ciągle w ręku notatnik z sylwetką głowy sir Edwarda, odezwał się po chwili milczenia.

— Ten pański baronet musiał się wychowywać zagranicą.

— A to dlaczego? — zapytał Strand zdziwiony.

— Akcent jego nie jest czysto angielski.

— Co za przywidzenie!

(d. c. n.)

De pow. Testament Dziwaka.



Oto wielka ilość ptaków z przywiązanymi wstążeczkami wleciała w górę.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Rozrzucone na stołach najnowsze książki i broszury w różnych językach, obok dzienników i ilustracji Nowego i Starego Świata, świadczą, że wymarzony ten zakątek idealnej wygody i ciszy musi być często odwiedzany. Że zaś gość przybywający tu, gdyby nawet przedłużył swój po-

byt, nie był narażony na głód i pragnienie, upewnia szeroki kredens, kryjący się w głębi, za którego kryształowemi szymbami widnieją butelki i flakony najpierwszej marki win i likierów, obok konserw, pasztetów i innych przekąsek, które stróż budynku obowiązany jest codziennie świeżo zastawiać.

Ale gdzie właściwie jest tu miejsce na grobowiec, jeśli wogóle takim jest przeznaczenie tego klejnociku zarazem pod względem architektury, jak urządzenia...?

Wróćmy jeszcze do sali głównej i przypatrzmy się pięknej rzeźbie z białego marmuru, ustawionej w pośrodku pod jej kryształowem sklepieniem. Jakkolwiek na pierw-

szym rzucie oka zdaje się ona być tylko dziełem fantazyi artysty, przeznaczonym ku ozdobie takiej właśnie jak ta halli, dziełem przedstawiającem unoszoną na głowach potworów morskich olbrzymią muszlę dziwnych kształtów, niemniej jednak jest to sarkofag, do którego William I. Hypperbone pragnął po śmierci być złożonym i gdzie też niebawem, po usunięciu wierzchniego nakrycia muszli, ustawioną zostanie trumna z ciałem jego.

Bez wątpienia grobowiec taki nie może nasuwać myśli ponurych i złowrogi szept skrzydeł śmierci, jaki zda się nam słyszeć u bram cmentarnych, cichł tu, ustępując miejsca jakiemuś zadowoleniu, błogości nieledwie.

Ale przynajmniej też szczerze, że było to miejsce ostatniego spoczynku, zupełnie odpowiednie dla tego milionowego dziwaka amerykańskiego, którego fantazyi zawdzięczali mieszkańcy Chicago radosną uroczystość pogrzebową przy skocznych dźwiękach muzyki i wesołych pieśniach.

Zaznaczyć jeszcze musimy, że jeżeli wstęp do mauzoleum Wiliama I. Hypperbone był stanowczo dla obcych wzbroniony, sam właściciel jego zwykł tam spędzać dwa razy w tygodniu parę godzin popołudnio-

wych, a nawet od czasu do czasu zapraszał z sobą kilku przyjaciół z klubu.

A były to posiedzenia jedne z najprzyjemniejszych, wypełnione bądź to czytaniem, bądź rozprawianiem o najświeższych wydarzeniach w polityce świata, o różnych kierunkach społecznych, o korzyściach czy stratach w przemyśle i handlu, jakie przypuszczalnie mógł sprowadzić nowy bil Mac Kinley'a — słowem, o wszystkim, czem poważne umysły zwykły się zajmować.

Nieraz też, gdy zabrzęczały kieliszki ze złocistym napojem, rozmowa przybierała ton poufnych pogawędek, które przeciągając się do wieczora, zostawiały najmilsze wrażenia powracającym wreszcie do swych domów członkom „Klubu Dziwaków!”

A teraz gdyśmy poznali w szczegółach prywatne życie Wiliama J. Hypperbone, czyż nie wypada nam przyznać, że posiadał dość cech niezwykłych, by go zaliczyć

do najoryginalniejszych ludzi współczesnych? Brakowało chyba jeszcze tylko dla dopełnienia miary, aby śmierć jego, która całe miasto tak poruszyła, nie była śmiercią rzeczywistą.

Pod tym względem jednakże mogą spadkobiercy jego, kimkolwiek się okażą, nie odczuwać najmniejszej bojaźni.

Śmierć dziwaka w Chicago była jaknajprawdziwszą. Nawet dla upewnienia się pod tym względem, zastosowane zostały, znane już ówczesnie promienie ultra X profesora Fryderyka Elbinga, przez uczonego tego „kritikshalhen” zwane, które posiadają tę nadzwyczajną własność, że przechodząc przez ciało człowieka, wywołują fotograficzne obrazy, różniące się wielce, jeżeli ciało to jest żywe lub martwe. Otóż doświadczenie wykazało najzupełniejszą martwość ciała przedwcześnie zmarłego milionera.

Było już wpół do szóstej i wiosenne słońce chyliło się ku zachodowi, gdy orszak pogrzebowy przekroczył bramę cmentarza Oakswoods, przyczem powstał taki ścisk wśród olbrzymiej masy publiczności, pragnącej towarzyszyć pochodowi aż do końca, że policja, chociaż tak licznie rozstawiona, ledwie zdołała utrzymać porządek o tyle, że nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek, z tych, jakie w podobnych okolicznościach najczęściej się przytrafiają.

Nareszcie kondukt stanął przed bramą ogrodzenia mauzoleum, właśnie w chwili, gdy przy zapadającym mroku wieczornym, zajaśniały nagle dokoła i na samym budynku aż do najwyższego szczytu wieżyczki, wspaniałe światła elektryczne, w których blasku cmentarz i całe to niezwykle zgromadzenie dziwnie osoblwego nabrały uroku.

Ponieważ uroczystość dobiegała już końca, a we wnętrzu budynku, mieszczącego sarkofag, najwyżej paręset osób mogło się pomieścić, nadeszła więc chwila, w której ostatnie numera programu miały być dopełnione. W oczekiwaniu tego tłummy ścisnęły się bardziej, i gdy każdy starał się zająć miejsce najbliższe wozu, powstało dokoła głośne zamieszanie. Powoli wszakże ruch ustawał, szmery cichły i głębokie zapanowało milczenie.

Teraz więc, zanim zdjęto trumnę z wozu, by ją przenieść do grobowca, czcigodny pastor Bingham, który z urzędu swego jako duchowny exportował ciało, odczytał donośnym głosem słowa liturgiczne, wysłuchane przez publiczność w należytem skupieniu. Była to jedna, jedyna chwila, w której ceremonia pogrzebu przybrała tak właściwy sobie charakter religijny.

Skoro ucichły słowa Pisma św. wnet zabrzmiały zaśwazsze głęboko wruszające tony przepięknego żałobnego marsza Chopin'a, którego wykonaniu możnaby jedynie zarzucić nieco przyśpieszone tempo, przystosowane widocznie do ogólnego usposobienia, a może i woli zmarłego.

Teraz wysunął się naprzód prezes klubu, Georges Higginbotham, by jako przyjaciel zmarłego wygłosić pożegnalną mowę. Przedewszystkiem streścił w słowach uznania życie William I. Hypperbona, zapelnione tak szczęśliwymi spekulacjami, że postawiły go one w rządzie nie tylko milionerów miasta Chicago, ale nawet w gronie wybitnych obywateli Zjednoczonych Stanów Ameryki, którymby też niezawodnie z gotowością służył swą fortuną, gdyby okoliczności tego wymagały. Tylko, że na szczęście, państwo nie znajdowało się w takiej potrzebie. A jakim okazywał się on niezrównanym towarzyszem, jak cennym przyjacielem — o tem najlepiej wiedzą członkowie klubu, któremu prawie wyłącznie ostatnie lata swego życia poświęcił.

— Był to — zapewniał w końcu szanowny mówca — umysł nie powszedni, mający wszelkie dane do wyróżnienia się w swem społeczeństwie umysł z tych, jakie należyście oceniać zwykliśmy dopiero, gdy go już nie stanie! To też jakże boleśnie da nam się odczuć brak jego!... A jeśli już obecna ceremonia, w której niemal całe miasto wzięło udział, wymownem jest świadectwem popularności, jaką sobie zyskał, to któż przewidzieć zdoła, jakie jeszcze warunki przekaże testamentem swym domniemanym spadko-

biercom? Kto wie, czy nie poczyni tam zastrzeżeń zdolnych wprowadzić w podziw mieszkańców obu części Ameryki, co równa się prawie wszystkim innym częściom świata!

Za te słowa, które długoletnia przyjaźń ze zmarłym podyktowała prezydentowi Klubu Dziwaków, zgromadzona publiczność dziękowała szmerem uznania, wznagającym się niby szum wiatru wśród konarów dębowego lasu.

Tym, którzy zajmując dalsze miejsca, wszystkiego dośłyszeć nie mogli, bliżej stojący powtarzali ciekawsze ustępy, bo żaden z uczestników uroczystości nie chciał być pokrzywdzonym choćby o jedno przemijające wrażenie.

Ale gwar powstały zagłuszył niebawem śpiew chóru, który z akompaniamentem orkiestry wykonał uroczysty hymn z Messyady Hendla, stanowiący ostatni numer programu uroczystości.

A jednak publiczność stała jeszcze nieruchoma, jakby w oczekiwaniu jeszcze czegoś więcej, może czegoś nadzwyczajniejszego niż wszystko, w czem dotychczas brała udział. I tak ogólne było podniecenie umysłów, że bodaj nawet jakieś zjawisko, burzące odwieczny porządek w świecie, nie byłoby nikogo w tej chwili zadziwił.

Gdy wszakże nic podobnego nie zaszło, służba w galowej liberyi zdjęła trumnę ze wspaniałego wozu i po usunięciu kosztownych nakryć, poniosła na swych barkach do wnętrza mauzoleum, przez którego otwarte podwoje, tak szerokim strumieniem sphywało światło lamp elektrycznych, że przyćmiewało jasność, jaka już dokoła panowała.

Sześciu wybranych nie ustąpiło i teraz jeszcze z pierwszego miejsca, jakie zrazu zajęli, tylko w braku girland kwiatowych, każdy z nich ujął, wedle wskazówek mistrza ceremonii, jedną z klamr srebrnych, zdobiących boki trumny. Za nimi szeregiem posuwali się zwolna członkowie klubu, oraz dostojni przedstawiciele władzy cywilnej i wojskowej, za którymi już zamknięto bramę ogrodzenia z obawy zbyt wielkiego natłoku ludzi.

Tymczasem z chwilą, gdy trumna zniknęła za podwojami budynku, zahuczały z wielką siłą trąby i kotły muzyki wojskowej i przed oczyma wszystkich pozostałych jeszcze na cmentarzu, przy natężonem oświetleniu dorównującym siłą prawie jasności słonecznej, ukazał się widok piękny, prawie jedyny w swoim rodzaju.

Oto wielka ilość ptaków, z powiewającymi różnobarwnymi wstążeczkami, które im przywiązano zawczasu, wleciała w górę z radosnym świągotem, ciesząc się z odzyskanej znów wolności.

I gdy tak się wzbily, niby żywe chorągiewki nad głowami zdumionych, otaczając mauzoleum, zdawało się, że dusza zmarłego unoszona ich lotem, dażyła wprost ku wyzynom niebieskim.

Tymczasem we wnętrzu budynku grono zaproszonych stanęło w milczeniu dokoła sarkofagu, gdzie też niezwłocznie wpuszczoną została trumna, poczem wielebny pastor Bingham odmówił ostatnie rytuałem przepisane modlitwy, kończąc je słowami pożegnania:

— Cześć pamięci zacnego Williama I. Hypperbone'a!

— Cześć, cześć jego pamięci!... — powtorzyli obecni, a za nimi jak potężne echo rozległ się po cmentarzu tenże sam okrzyk z ust zbranego tłumu.

Teraz nareszcie „sześciu wybranych” procesjonalnem okrażeniem sarkofagu, dopełnili ostatniego obowiązującego ich na dzisiaj ceremoniału, a służba gotową już była ciężką marmurową płytą zamknąć grobowiec.

Czynności tej wszakże najniespodziewaniej przeszkodził pan Tornbrock, który wystąpił naprzód i wyjąwszy z kieszeni papier z ostatnią wolą zmarłego, odczytał obecnym ostatni jej paragraf;

„Wolą moją jest, aby grób mój pozostał otwarty przez dni dwanaście, i aby rano tegoż dnia dwunastego, wszystkie sześć osób, które towarzyszyć będą memu pogrzebowi, przyszły złożyć swe karty wizytowe na mej trumnie, poczem dopiero kamień może być położony; pan Tornbrock zaś w tymże samym dniu, punktualnie o dwunastej, odczyta

w sali Audytoryum mój testament, który złożyłem do rąk jego. Podpisano własnoręcznie

William I. Hypperbone.

— O, stanowczo niema najmniejszej wątpliwości, że wielkim dziwakiem był zmarły, i kto wie, czy ta jego oryginalność pośmiertna będzie ostatnią — myślał niejeden z uczestników pogrzebu, wracając do domu, gdy już drzwi mauzoleum zostały zaryglowane, i stróż, stały jego mieszkaniac, zajął się gaszeniem światła.

Jeszcze czas jakiś rozbrzmiewały kroki rozchodzących się tłumów, aż wreszcie wszystko ucichło i cmentarz Oakwoods pograżył się znowu w zwykłym o tej porze spokoju i ciszy.

(d. c. n.)

Fiołek.

Bajka.

Na łące zielonej, w cichutkiej ustroni,
Gdzie dzwonki białemi konwalia się kłoni,
Wśród kwiatów rósł fiołek choć wonny lecz skromny,
A przy nim łopuchu liść sterczał ogromny.
I zda się nasz kwiatek żył sobie szczęśliwie,
Śpiew ptasząt podziwiał, przyglądał się niwie,
I deszczyk go rosil srebrnymi kroplami,
I wietrzyk poruszał wonnemi listkami.
A jednak nasz fiołek nie cieszył się wiosną,
Nie cieszył się ptasząt melodią radosną,
I smętnie swą główkę przechylał ku ziemi,
I nie chciał pogwarzyć z kwiatami innemi,
Lecz gniewał się ciągle na łopuch zielony, —
Ze słońko mu z jednej zaśłania on strony.
Nie pomny, że słońce nań z innych stron pada,
Wyrzekał wciąż głośno na swego sąsiada,
Choć tamten z pokorą mu nieraz tłumaczył,
Ze musi tam rosnąć, gdzie Bóg mu przeznaczył.
A wtem niespodzianie pewnego poranka
Przybiegła na łąkę po kwiaty do wianka
Dziewczynka ze dworu, i dalejże składnie,
I dalejże zrywać, co w rękę jej wpadnie. —
Już jest tuż przy fiołku, lecz fiołka nie zrywa,
Bo łopuch go przed nią bezpiecznie zakrywa...
Pomknęła, a fiołek, drżąc jeszcze ze trwogi
Tak rzecze: — złość przebacz, sąsiedzie mój drogi,
I skargi; tyś życie ocalił mi przecie,
Bez ciebie by pewnie zerwało mnie dziecię.
Więc przeszłość przyrzekam nagrodzić sowiec,
I w zgodzie już odtąd przy tobie wieść życie.

H. Orłowska.

Trzeci list Janka Ł. do Redakcji Wieczorów.

(z Transwaalu).

X Kochani koledzy! Cud to prawdziwy, że jeszcze do was piszę, bo zbliżałem powąchałem angielskiego prochu. Wcale nie żartuję, a mogę wam zareczyć, że kręci w nosie mocniej, niż najmocniejsza tabaka. Br!... jak o tem pomyśle, robi mi się dziwnie na sercu, ale żyję, więc nie ma nadczem lamentować, owszem, cieszę mnie bardzo wspomnienie przeżytych niebezpieczeństw. Gdy się zestarzeję,

będę miał przynajmniej co opowiadać moim wnukom, nie tak jak ci flistrzy, którzy się rozwodzą długo i szeroko nad tem, że stłukli sobie nogę lub oparzyli rękę... Tam gdzie ja byłem, nie brakowało ognia, ale ogień karabinowy inaczej usposabia; gdy koło uszów brzmiały kule pif! paf! puf! to z serca ucieka filisterstwo, polecamy Bogu duszę i mówimy sobie: „Nie daj się, bracie!

Ale trzeba porządnie opowiedzieć wam, koledzy, jakim sposobem dostałem się tam, gdzie pieprz rośnie, to jest gdzie kule biją.

Kiedy ostatni mój list wysyłałem do was, sądzili wszyscy w Johannesburgu, że wojna skończy się prędko. Anglia taka potężna, tyle tysięcy wojska gromadzi przeciw garstce Burów, zgniecie ich jak muchy, mówił niejeden. Ale stało się inaczej. Dzielni Burowie umieją bronić swego kraju. Generałowie angielscy pobici. Mówiono, przyjdzie Buller i wszystko się zmieni; generał Buller przyjechał z Anglii, lecz nic się jednak nie zmieniło. Burowie dali radę i Bullerowi, teraz stoi on nad rzeką Tugelą, czeka żeby wody opadły, a tymczasem Burowie na przeciwnym brzegu sypią szanice, zataczają armaty, gromadzą ochotników i żywność. Gdyby nawet wody Tugeli rozstały się przed Bullerem, jak wody morza Czerwonego przed Mojżeszem, to miałby on jeszcze dużo biedy na przeciwnym brzegu, zanimby oswołodził Ladysmith. Tutejsi ludzie mówią, że Anglik zgryzł Indye, ale nie strawi Irlandyi i Burów.

Od ostatniego mego listu zmieniło się wiele rzeczy w Johannesburgu i te zmiany właśnie spowodowały moje wojenne przygody. Miasto opustoszało, kto zdrow i młody bierze konia (a wyprzegają je w razie potrzeby i od dorozek, których też nie widzi się już prawie na ulicy), bierze więc konia i jedzie do obozu. Kupcy wystraszeni o swe sklepy, gdyż w czasie wojny łatwo o rabusiów, zamykają je wcześniej, wielu nawet w obawie przed bombardowaniem, otacza domy palisadami lub osłania grubymi blachami. Z okien cudzoziemców powiewają flagi różnych państw, pod osłoną tych flag, które szanować winny wojujące strony, żyją biedni Uitlanderzy, drżąc ze strachu, bo prawo prawem ale wojna wojna, a co to wojna, o tem już się przekonałem.

A stało się to zaś tym sposobem. W Johannesburgu strach, a strach ma wielkie oczy, niech ciężki wóz przejedzie ulicą, biegają ludzie do okien, patrzeć czy to nie armaty dudnią po bruku. Ach, jakie to bywa czasem zabawne!

Ze strachu więc ucieka kto może z cudzoziemców do Durbanu, do Captownu, chociaż nie łatwo się tam dostać. Miasto pustoszeje, restauracje i kluby zamknięte, handel ustął, banki więc także próżnują. Banki są nawet w największym niebezpieczeństwie; wiedzą ludzie, że w kasach leżą pieniądze, a choć rząd kazał zamknąć wszystkie szynki, żeby wódka nie podniecała do złych czynów, łatwo trafić się może napad na kasę bankową.

— Czy podejmuje się pan odwieźć pieniądze do Captownu? — zapytał ojca dyrektor naszego banku.

Zapytanie takie, to wielki zaszczyt. Powierzono pieniądze tatce, bo wiadano, że on zaufania nie zdradzi i z narażeniem życia sumę w właściwe ręce odda.

— Cieszę mnie, że wybrano Polaka, da Bóg nie zepsuje swoim dobrej sławy; powiedział mój kochany ojciec, wybierając się w podróż. Serce biło mi mocno, widząc jak Mungo, nasz kucharz Murzyn, wyciąga kuferek z kąta.

— Czy tatko pojedzie sam, sam przedzierać się będzie wśród nieprzyjacielskich placówek? — myślałem przerażony. Ale tatko uspokoił moje obawy.

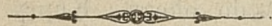
— Wezmę cię z sobą, cokolwiek bądź się stanie, lepiej nam się nie rozłączać. Mam świadectwo od banku, choćby nas więc zatrzymali Burowie lub Anglicy, puścić powinni. Służę w banku francuskim i wiozę pieniądze francuskie, pod osłoną pasportu, wydanego w Paryżu, nic złego nam się chyba nie stanie.

(d. n.)

Zapadnięcie się góry w Amalfi.

Amalfi, ślicznie położone starożytne miasteczko w południowych Włoszech, opiewane przez poetów we wszystkich językach cywilizowanego świata, zostało nawiedzone przez straszne nieszczęście. Dnia 22 z. m. część skały, wznoszącej się nad miastem, runęła na leżące u stóp jej budynki i spowodowała ogromne spustoszenie. Na szczęście robotnicy, pracujący w kamieniołomach, zauważyli usuwanie się głazów i natychmiast zaalarmowali okolicznych mieszkańców, którzy po większej części zdolali się uratować. Spadająca masa głazów około 30,000 metrów sześciennych obejmująca, zburzyła hotel „Santa Catharina, gdzie zginęły dwie Angielki, które chciały wynieść swoje klejnoty. Inni goście hotelowi uratowali życie i wyszli bez szwanku z katastrofy. Sławny klasztor Kapucynów, w którym mieszkały zazwyczaj przyjezdne znakomitości, zburzony został w połowie. W zatoce nawet cztery łodzie żaglowe, stojące u brzegu na kotwicy, zostały pogrzebane w morzu razem z załogą. Ilu ludzi padło ofiarą katastrofy, nie można było na razie obliczyć. A liczba zasypanych, którzy może jeszcze żyją, jest prawdopodobnie duża. Władze rządowe rozwinęły energiczną działalność i wysłały do Amalfi oddziały piechoty i pionierów dla prowadzenia robót ratunkowych.

Rycina nasza przedstawia chwilę, jak olbrzymia skała spada do zatoki na stojące przy brzegu statki i łodzie.



KROKODYL GANGESOWY.

Krokodyle dzielą się na trzy główne gatunki: krokodyl właściwy albo Nilowy, Aligator amerykański i krokodyl ryjowaty czyli Gawijal, żyjący w wodach Gangesu w Indjach lubo spotyka się go także w Indusie i Bramaputrze. Czczony przez mieszkańców okolicznych, bywa on nieraz starannie hodowany w przeznaczonych na to sadzawkach. Olbrzymi ten krokodyl, dochodzący do sześciu a nawet dziesięciu metrów, wyróżnia się wydłużonym, szczupłym, w końcu trochę rozdętym pyskiem. Górną i dolną szczękę ma uzbrojoną w liczne zęby, których ogólna liczba od 104 do 110 wynosi. Tułów Gawijala od głowy do ogona pokrywa pancerzowata łuska, w kręgi układana; kolor skóry jakby nadgniłej kłody z wierzchu ciemnozielony z ciemniejszymi brunatnymi plamami, pod spodem blade-żółty. Łapy przednie pięcio, tylne czteropalcowe, z których trzy błoną spięte.

Główne pożywienie Gawijala stanowią ryby, rzuca się

jednak często na zwierzęta, przychodzące w rzece gasić pragnienie, a spotkanie się z nim i dla człowieka bywa niebezpieczne. Obfitego też pokarmu dostarczają Gawijalowi ciała zmarłych, przez biedniejszych mieszkańców wrzucane do „świętej rzeki,” a czasami za smaczny kąsek służy mu umierający Hindus, który czując swój zgon blizki, każe się nieść nad brzeg Gangesu i tam nadejścia śmierci wyczekuje.

W europejskich gabinetach historii naturalnej, rzadko kiedy tylko z okazem Gawijala spotkać się można, a żaden z tych płazów w naszej części świata nie dał się przy życiu utrzymać.

Od Komitetu Jubileuszowego Henryka Sienkiewicza.

W roku bieżącym 1900 społeczeństwo nasze obchodzić będzie Jubileusz 25 letniej pracy literackiej *Henryka Sienkiewicza*, którego imię rozbrzmiewa dziś na szerokim obszarze świata, z prawdziwą dla literatury polskiej chlubą.

Komitet jubileuszowy, złożony z 15 osób, zatwierdzonych przez Władzę, na czele których stoją J. Ex. Biskup Ruskiewicz, jako przewodniczący, książę Stefan Andrzej Lubomirski, vice prezes, Julian Wieniawski, skarbnik i Edward Lubowski, sekretarz — zaprasza do przesyłania na ten cel składek choćby najdrobniejszych na upominek, oraz jaknajliczniejszych podpisów, których zbiór będzie niewątpliwie dla Henryka Sienkiewicza najmiłym darem.

Składki i podpisy należy przysyłać do dnia 1 kwietnia r. b. na ręce Skarbnika pana Juliana Wieniawskiego (Królewska 14).

Redakcja „Wieczorów” może także pośredniczyć w ich przyjmowaniu i składać takowe na ręce skarbnika.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

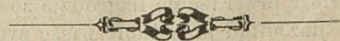
CZASOPISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU SZKOLNEMU I DOMOWEMU.

Wychodzi od lat 18 dwa razy na miesiąc. W r. b. oprócz *Ogródka dziecięcego* i rozpoczętych *Kursów Samokształcenia*, dodawać będzie w dalszym ciągu co kwartał po zeszytach *Metodyki* historii literatury polskiej P. Chmielowskiego.

Rady praktyczne dla rodziców i wychowawców. Ogłoszenia osób poszukujących pracy w zawodzie pedagogicznym i o książkach treści wychowawczej.

Prenumerata w Warszawie: rocznie rub. 6 z przes. poczt 7.

Adres Redakcyi, Hortensya Nr. 2.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Krokodyl gangesowy (z ryc.) — 395 dni wśród lodów polarnych przez Dr. M. Stefanowską (dokończenie). — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowką (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Fiołek, wiersz przez R. Orłowską. — Trzeci list Janka Ż. do Redakcyi *Wieczorów*. — Zapadnięcie się góry w Amalfi (z ryc.) — Od Komitetu Jubileuszowego Henryka Sienkiewicza. Dodatek: Najlepsza Matka, legenda ludowa przez Kazimierza Kalinowskiego. — Słomiankarz, wiersz (z ryc.) — Bursztyn przez Zofię Kwiatkowską. — Bohater ławelka i Ewci(c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

NAJLEPSZA MATKA.

LEGENDA LUDOWA.

Zasłabło raz Dzieciątko Jezus, ot, jak dzieci słabują w maleństwie. Aliści pocziwa Matka Najświętsza ułękła się strasznie Jezusowej [słabości.

Rumianku mu dała, św. Józefa posłała po miętę — nic mu przecież [nie pomogło.

Tuli Mateczka święte Pacholę do łona i tuli, całuje, kołysze, [a Jezusek płacze jak plakał.

„Co Ci to, maleńki — pyta — co Ci to, Jezusku?”

A Dziecinka płacze i kwili boleśnie bez końca.

Ogrzała Mateczka pieluszki, owinęła nóżki maleńki i wzięwszy Synka na ręce, chodzi z nim i śpiewa: Mu do snu:

Przyszedł Józef święty i mięty dali małemu, ale i to na nic.

Boli Go i boli, a nie wiedzieć co radzić.

Łezki kapią z oczą a kapią, aż się żal robi patrzeć.

Musiał być Jezusek mocno chory, skoro mu i zioła nie pomogły.

A z dzieckiem żartować nie można, kiedy samemu nie dasz rady.

Więc dalej Marya z Józefem namyślać się, co począć.

I umyśliłi, że się trzeba zapytać doktorów w mieście...

A do miasta nie mieli daleko.

Chciał już święty Opiekun pobiedz do doktorów, ale mu Matka Jezusowa, zawsze przezorna niewiasta, przypomniała, że kto może tymczasem pytać o cieślę z pilną robotą, że więc nie powinien z domu wychodzić.

Zawsze się z sobą zgadzali, toż i tym razem nic św. Józef nie rzekł Matce Najświętszej, ino ją wyprawił do miasta, a sam wziął na ręce kwilącą żałośnie Dziecinę i pocieszał, że zaraz Mama powróci...

A troskliwa była Matka Jezusowa.

Strasznie się o maleństwo lękała, było jej więc okrutnie spieszo do doktorów. Boso wybiegła i dalej pędzić przez pole.

Nie było ci jeszcze naonczas miedzy, ni drogi nie było, kędy z łaski Boga rosło zboże; ot, leżały łany szerokie, a ludziska zbierali z nich pełne kłosy na święty chleb powszedni.

Że zaś właśnie było po żniwach, toż się naokół ku miastu ciągnęło ogromne ściernisko. Co tchu biegła święta Marya bosomei nogami po ostrych ścierniach, kalecząc sobie święte stopy. Ślady krwi zostawiała po łanach zbożowych, biegnąc do miasta po ratunek dla Synka chorego.

I znalazła rychło doktorów Marya w mieście i z powrotem przyniosła Jezuskowi leki.

Już nazajutrz wyzdrowiało święte Dzieciątko i Matka Boża wyniosła je w pole, uszczęśliwiona swoim Syneczkiem.

Na ściernisku rwała dla maleństwa bławaty i kąko-

le, ale Jezusek najbardziej uśmiechał się do dużych czerwonych kwiatów, których mu Mateczka nigdy przedtem nie rwała, a których ona sama nie знаła dawniej...

Były to maki, co wyrosły i zakwitły dopiero wczoraj w polu, wszędzie, gdzie tylko został ślad krwi Matki Boskiej.

Kazimierz Kalinowski.



Słomiankarz.

Przekupień słomianek, gdy przed bramą stanie, Wnet się jego głośnie rozlega wołanie...

— Słomianki! Słomianki... leci głos z podwórza, Że aż niecierpliwi domowego stróża.

Ale rzadko kiedy kto przekupnia woła —

Wiele przejdzie ulic, nim coś sprzedać zdoła.

Oj, biedny słomiankarz! Na kawałek chleba,

Jak długo i ciężko pracować mu trzeba!

Ale każda praca uczciwa, szlachetna,

Chociażby nie głośnie, zasługą nie świetna,

Byle pożyteczna, ma łaskę u nieba,

Szacunek u ludzi, więc ją cenić trzeba.

BURSZTYN.

Zosia dostała od cioci na gwiazdkę piękne bursztynowe szpilki do kapelusza. Szpilki te podobały się bardzo Władziowi, o wiele więcej niż zwyczajne czarne, jakich przedtem używała Zosia. Przyglądał im się pilnie, a że jak wiecie, był to chłopczyk ciekawy, zapragnął dowiedzieć się, skąd też wzięły się te ładne żółte, przezroczyste kamyki. Może — myślał sobie Władzio — są takie kraje, gdzie na polach leżą takie piękne kamienie i jest ich tam tak dużo, jak u nas tych szarych?

Myślał już o tem, że jak kiedyś będzie zwiedzał różne, obce, dalekie strony, to musi pojechać i tam, gdzie są takie przezroczyste kamienie, i że nabiera ich dużo, dużo.

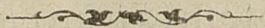
Pomyślał sobie jednak, że trzeba będzie dowiedzieć się od Ewci, gdzie leży kraj ten i poszukać go na mapie. Tymczasem Zosia powiedziała mu rzeczy dziwne. I dowiedział się, że bursztyn kamieniem nie jest.

W lecie, gdy słońce ogrzeje mocno drzewa, sączy się z nich i w kroplach w dół spływa gęsta lepka żywica. Znać ją wszyscy, a nawet zbieracie ją chętnie z drzewa wiśniowego i zjadacie, utrzymując, że bardzo jest smaczna. Otóż kiedyś, kiedyś w czasach tak dawnych, że lat policzyćby nawet nie można, było na świecie sosen wiele i z sosen tych, podobnie jak dziś, spływała żywica po pniach i zatapiała w sobie kawałki kory, igły sosnowe, nawet i owady. Żywica spadała na piasek, a że działa się to blisko morza, zabierało ją też morze i teraz żywica ta pod nazwą bursztynu zbieraną bywa na wybrzeżach morskich zwłaszcza w Bałtyku, albo też sieciami wyławianą. Na pewnej dalekiej od nas wyspie, co się nazywa Nową Zelandyą, istnieje i dziś jeszcze gatunek sosny, która wydaje żywicę bardzo podobną do bursztynu.

Bursztyn znany był w czasach bardzo dawnych. Dziś używamy go na różne ozdoby, jak broszki, szpilki a także i cygarniczki.

Tego wszystkiego Władzio dowiedział się od Zosi o bursztynie i teraz wie już, że bursztyn nie jest właściwym kamieniem, lecz skamieniałą żywicą prastarych drzew.

Zofia Kwiatkowska.



Bohater Pawełka i Ewci.

(Dalszy ciąg)

— Tak — rzekł Pawełek. — On powiedział, że do jego dziadka należą te wszystkie pola, drzewa i chaty, ale nie kazał nam się nazywać *panem Ryszardem*. Nieprawda, babciu, że Ryś jest bohater? Taki prawdziwy bohater, za którego w potrzebie powinniśmy znieść ból i wstyd nawet.

— Nie rozumiem, co to dziecko mówi — rzekła starszka sama do siebie. A głośno powiedziała:

— Pan Ryszard jest bardzo ładny panicz, a jego dziadek to najbogatszy obywatel w okolicy, i wątpię, aby pozwolił wnukowi zaprzyjaźnić się z wami; lepiej nie zaprątajcie sobie głowy podobnymi myślami. Pan Ryszard jest bogaty, dziadek go kocha, ludzie mówią, żeby tylko chciał, toby go dziedzic złotem obsypał, ale pomimo całego bogactwa chłopiec zwykle jest smutny, bo nie ma takiej siostrzyczki do zabawy, jak ty masz, Pawełku.

— Biedny Ryś! A czy on niema ani ojca ani matki?

— Nie. Rodzice mu umarli, gdy był jeszcze małym dzieckiem. A słyszę, że dziedzic ogłuchł na starość, i mówi, że nudno chłopczynie w tym wielkim dworze.

— Pewnie tam nie jest tak ładnie jak u ciebie, babciu. A czy mogę pójść do ogrodu? — zapytała Ewcia.

Po obiedzie sprzątnięto ze stołu, pozmywano, każdą rzecz położono na swem miejscu i kuchnia mogła w potrzebie zastąpić pokój bawialny, tak była czystułka. Pani Jakóbową wzięła pończoszkę w rękę i usiadła z nią na ganku. Była bardzo zadowolona z przybycia wnuków. Uśmiechała się wesoło, patrząc jak Ewcia biegała między grządkami kwiatów, goniła za motylkiem lub skakała jak ptaszek po uliczce zwirom wysypanej

Pawełek znów nie biegał i nie skakał jak jego siostrzyczka, ale chodził od kwiatka do kwiatka, wpatrywał się zachwycony w różnokolorowe bratki lub w biały kwiat jaśminu, a błękitne oczy jego jaśniały szczęściem.

— Tu wszystko tak ślicznie pachnie — rzekł, siadając obok babki, i oparłszy głowę o poręcz ławki, wpatrywał się w jasny błękit nieba.

— Na wsi tak czysto, jakby wszystko było świeżo wymyte. Tu nawet trawa pachnie tak, jak czysta bielizna, którą bierzemy w niedzielę... tutejsze wróble nie są tak ciemne jak nasze w mieście. Patrz, babciu, te wróble z długimi ogonami, co się uwijają pod strzechą, mają zupełnie białe szyjki, żeby wymyć nasze wróble, czy miałyby takie białe szyjki, jak wasze mają?

— Pawełku, dziecko moje! — zawołała babka zdziwiona, skończyłeś już ośm lat i nie umiesz jeszcze rozróżnić wróbla od jaskółki?

V.

Wizyta dziedzica.

W domku pani Jakóbowej były tylko dwa pokoje, jeden na dole a drugi na górze. Ten ostatni był sypialnym pokojem, spory był i przewiewny, oprócz dużego, staroświeckiego łóżka babki i wielu innych mebli, stała tam w jednym rogu spora sofa, na której starszka urządziła wnukowi wygodne poślanie, to też Pawełek po wczorajszym zmęczeniu spał smacznie, choć babka dawno wstała i poszła na dół, aby przygotować śniadanie.

— Niech się tam malcy wyśpią — mówiła do siebie, patrząc na nich z lubością — nic tak nie wzmacnia jak sen, niech dobrze wypoczną.

Rozniecila ogień, nastawiła kociołek wody na herbatę, nakarmiła kury, naszykowała wszystko do śniadania, nim wybiła ósma godzina.

— A to zaspali! — zawołała z uśmiechem. Lecz w tej samej chwili usłyszała szczebiot wnuków, mieszających się ze świegotem jaskółek, które tuż nad oknem sypialnego pokoju miały liczne gniazdko.

Dzieci stały w otwartym oknie boso, w długich kulkach, gdyż przed chwilą się obudziły i zachwyconemi czyma patrzyły na ten piękny świat. Babka nim zeszła a dół otworzyła okno, bo wiedziała, że najlepszym lekarstwem dla delikatnych dzieci, jest świeże powietrze. Usłyszawszy szczebiotanie wnuków, poszła zaraz na górę.

— Babciu! — zawołał Pawełek, całując ją na dzień dobry — dziś tu jeszcze daleko ładniej niż wczoraj! Czy jak ciągle coraz ładniej będzie?

— Nie wiem, moje dziecko! Ale teraz spiesz się ubraniami i chodź na dół, bo śniadanie już gotowe.

Dzieci się pospieszyły i za chwilę zajadały świeżutki jajka na mięko i chleb z młodem masełkiem.

Po śniadaniu Ewcia chciała zaraz wylecieć do ogródka, ale babka rzekła:

— Nie, Kochanko, nikt nie powinien się bawić cały dzień! Czy duży, czy mały musi pracować, i ty mi pomożesz w sprzątaniu. Zmieć okruchy ze stołu i daj kurom, a jak posprzątam, to jeszcze będziecie mieli dosyć czasu do zabawy.

Babcia była tak dobra i wyrozumiała, że dzieci pomagając jej obojętnie przy gospodarstwie, najwyborniej się bawiły, i prawie żal im się zrobiło, gdy pani Jakóbową rzekła:

— Byliście bardzo posłuszni, już ja resztę zrobię sama, a wy teraz idźcie się bawić aż do obiadu.

— Czy możemy wyjść za furtkę na drogę? — zapytała Ewcia.

— Naturalnie, że możecie. Ta drożyna prowadzi na błonie, to najlepsze miejsce dla was do zabawy. W całym świecie niema lepszego powietrza, jak na błoniu. A nie możecie też zabłądzić, jeżeli zauważycie ten wielki wiąz, po którym łatwo trafić do domu. Nie spóźnijcie się tylko na obiad... Ale nie obawiam się tego. Jak się nabiegacie na świeżym powietrzu, to wam się jeść zachce i traficie do domu. Pawełku, co ci to chłopcze?

Pawełek nie śpieszył się biec za furtkę; patrzył zadumany na łąki ciągnące się za domkiem i na dróżkę, którą wczoraj z Ewcią przyszedli do babki. Siostrzyczka jego już wyskakiwała na drodze i wołała na niego żywo:

— Pawełku, chodź już, chodź prędzej!

— Ja myślałem, że może, — on powiedział, że przyjdzie nas odwiedzić — a gdy pójdziemy w tę stronę, to się z nim zmiemy — wyjąkał Pawełek nieśmiało.

— Z nim się zmiemy! Co ty pleciesz, chłopcze? — zapytała babka.

— Z Rysiem, moim bohaterem. Oddałbym nie wiem co, aby się z nim zobaczyć, a on powiedział, że przyjdzie.

— Niemądry jesteś, Pawełku! — rzekła babka, śmiejąc się. — On już dziś nie myśli o tobie.

— Nie przyjdzie, babciu? A więc jemu nie trzeba wierzyć? — zapytał Pawełek, utkwivszy w babkę nad wiek poważne spojrzenie.

Pani Jakóbową nie wiedziała co odpowiedzieć na to, rzekła więc tylko:

— Pobiegnij z Ewcią! Zapewniam cię, że pan Rys dziś nie przyjdzie. Jeśliby przyjechał, to tylko przez błonie, a więc spotkalibyście się na pewno.

Te słowa babki rozproszyły chmurkę na czole Pa-

welka, objął starszkę za szyję, ucałował ją serdecznie i pobiegł za Ewcią, wołając wesoło:

— Już idę, Ewciu, biegnę, lecę!

Pani Jakóbową stała chwilę przed domem, a przysłoniwszy cokolwiek oczy ręką od słońca olśniewającego, patrzyła uradowana na swe wnuki, szepcząc:

— Boże! zachowaj ich zdrowo! A gdy znikli jej z oczów weszła do ogródka, lecz w tej chwili usłyszała turkot nadjeżdżającego powozu.

Odwróciła się, by spojrzeć na drogę i zobaczyła niewielki powóz otwarty, zaprzężony w dwa ładne konie, zbliżający się ku jej domowi.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze wprost, gdy jest piękne napelnia weselem,
Na wspaniałe zaś w ziemskim życiu jest przyszłości celem.
Drugie wspaniałe z *trzecim* wprost ma rozmiar nieduży,
To też małym przedmiotom w okalaniu służy.
Zas drugie wprost i *trzecie*, ważne z tego względu,
Że na wielu papierach kładą się z urzędu.
W blizkim zaś kraju Niemiec, to ważna podnieta
Cłciwości, jako znana powszechnie moneta.
Wszystkie gdzie się zdarzają, pełne gwaru, życia;
Ułatwiają sprzedaż i sposób nabycia.

ARYTMOGRYF.

ulożony przez Geniusza.

| | | | | | | | | | | | | |
|----|----|----|----|-----|----|---|----|----|----|----|----|----|
| 12 | 2 | 0 | 18 | 3 | | | | | | | | |
| 12 | 14 | 3 | 15 | 102 | | | | | | | | |
| 16 | 5 | 3 | 5 | 102 | | | | | | | | |
| 17 | 5 | 4 | 10 | 5 | | | | | | | | |
| 18 | 1 | 11 | 5 | 6 | 17 | 5 | 10 | 2 | 9 | 19 | 16 | 5 |
| 3 | 5 | 4 | 19 | 16 | 9 | 8 | 8 | 20 | 21 | 19 | 16 | 11 |
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 2 | 8 | 9 | 5 | 10 | 11 |
| 6 | 2 | 22 | 11 | 5 | 16 | 2 | 1 | 8 | 9 | 19 | 16 | 5 |
| 6 | 2 | 19 | 11 | 5 | 20 | 8 | 23 | 11 | 10 | 8 | 4 | 5 |
| 15 | 2 | 9 | 19 | 2 | | | | | | | | |
| 12 | 14 | 5 | 15 | 6 | | | | | | | | |
| 17 | 8 | 10 | 2 | 4 | | | | | | | | |
| 15 | 4 | 11 | 2 | 14 | | | | | | | | |

Środkowe litery w kierunku pionowym i poziomym złożą mają nazwę wypadku dziejowego doby obecnej.

1. Roślina pnąca.
2. Miasto nad Wisłą.
3. Czółenko o jednym wiosle.
4. Państwo w Europie.
5. Zwierzokrzew.
6. Bohater powieści Sienkiewicza.
7.
8. Współczesna autorka polska.
9. Dwie bohaterki z utworu Mickiewicza.
10. Zabawa kwiatowa.
11. Wyrażenie smutku u ludzi.
12. Zły duch.
13. Dobry duch.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

do nagrody.

Staś, dostawszy od ojca pewną kwotę pieniędzy dla rozdania pomiędzy ubogich, wyrachował, że gdyby każdemu chciał dać po 15 kopiejek, toby mu zabrakło 10 kopiejek, gdyby zaś dawał po 12, to pozostałoby mu jeszcze 14.

Ilu było ubogich i ile Staś miał pieniędzy do rozdania?

Za rozwiązanie tego zadania wyznaczamy trzy nagrody (kalendarzyki na rok 1900) dla czytelników Wieczorów do lat 12; jedną dla pierwszego, kto przyśle rozwiązanie z Warszawy, drugą dla pierwszego z 10 gubernii król. pol. — trzecią dla dalszych stron.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go

Szarady: Kra — wiec.

Metagramu: Włos, głos, kłos.

Łamigłówniki kropkowanej:

Nowy rok, bracia, z tym nowym rokiem
Kończąc rok zeszły, przejrzyjmy czas!
Jak ten czas pędzi hucznym potokiem
I w drodze z sobą zabiera nas.
Spójrzmy w przeszłość — jak wiele trudów,
Aby dopędzić obecne dni!
Ile łez i krwi i wojen ludów
Było potrzeba nim weszli my.

T. L.

Łamigłówniki sylabowej

1) Mozambik. 2) Izydor. 3) Cecora. 4) Kos. 5) Iloraz.
6) Eolowie. 7) Wiesław. 8) Illinois. 9) Cynk. 10) Zambezi.

Mickiewicz — Kraszewski.



Skrzynka do listów.

Maryni Łub., w Petersburgu. Zaginione numera wysłaliśmy zaraz po otrzymaniu twego listu, żądanej książki na premium dać ci nie możemy, bo jest wyczerpana, może wybierzesz inną ze spisu podanego w nr. I r. b.

Zosia Kr. należy do rządu pilnych i uważnych czytelniczek, jak widzimy z jej listu. Co do morsów objaśniamy, że jak wiele innych zwierząt, choć są ciężkie, a nawet trwożliwe, jednak napańnięte i ranione, wpadają czasem we wściekłość i wówczas bywają bardzo niebezpieczne.

Maryi G. w Łodzi posłaliśmy żądane numera Wieczorów. O premium proszę się zgłosić wprost do Redakcyi, wypisując tytuł wybranej książki i przesyłając 10 kop. na koszt przesyłki pocztowej.

Książkę dla Zosi Tch. posłano, za miły liścik dziękujemy. Łamigłównkę Polnego Kwiatka i kilka zadań nadesłanych przez Stefana S. przejrzyjmy.

Dobre rozwiązania zadań otrzymaliśmy od: Niezapominajki z nad Wkry, Jadzi M., Błędnego Rycerza, Polnej Różyczki, Michała i Adolfa Ten., M. S. E. Tow.

Czarnej Jagódce dziękuję, że po długim milczeniu odezwała się chociaż króciutkim liścikiem, a ufam, że wszędzszy raz na drogę poprawy, nie zejdziesz z niej prędko i nie będziesz zapomniała o „skrzynce” naszych korespondentów.

Leśną Paprotkę witam i od dziś zaliczam do grona moich przyjaciółceczek, a co za tem idzie, korespondentek. Rada jestem, że Wieczory czytujesz z takim zajęciem. Obiecanego dłuższego listu oczekuję z niecierpliwością, a tymczasem pozdrawiam cię serdecznie wraz z braciśkiem Szczupakiem z nad Kobieli.

Zadania Orła Czubatego złożyłam w Redakcyi, za pamięć dziękuję, a powieść „Powrócili” możesz dostać w Redakcyi jako premium na rok bieżący.

Trzem Rakom z Siedlisk. Gdy poznam twe ładne pismo na kopercie Najstarszy Raku, już naprzód uradowana jestem, bo wiem, że wewnątrz koperty znajdę bardzo miły i bardzo ciekawy liścik. Przeczucie nigdy mnie nie zawiodło i często czekam wolnej chwili, by list wasz po raz wtóry odczytać. I teraz wdzięczną wam jestem za ciekawy opis, jak wesoło spędziłyście święta. Za pamięć bardzo wam dziękuję i mnie dni świąteczne zeszły przyjemnie i wesoło w kółku rodzinnem, a nawet na dni kilka wyjeżdżałam na wieś i sanny użyłam do woli, a była bardzo dobra, bo dużo śniegu napadało i mróz mocny trzymał.

Szarotka i Myszką z Orłowa za mojem pośrednictwem dziękuję Córce Mazurów za przysłane im nuty.

Cyklop miał rację, iż w szaradzie z nr. 2 brakowało jednej sylaby, przy rozwiązaniu dodaliśmy sprostowanie pomyłki. Za przyjazne życzenia dziękuję i mam nadzieję, że nie poprzestaniesz na jednym liściku, ale i nadal pisywać do mnie będziesz.

Miriocie życzę wesołej zabawy na weselu siostry. Że cię przysłana książka zajmuje, bardzo rada jestem, a którą z drukujących się obecnie powieści czytasz z największym zajęciem? Chociaż gimnastyka przychodzi ci z trudnością, ze względu jednak, na zdrowie, zaniedbywać jej nie powinnaś.

Ejże Turkaweczko, czyś mogła chociaż na chwilę dawać wiarę brzydkim podszeptom pierwszego uczucia? Mogę cię zapewnić, że drugie i tylko drugie prawdę szeptało ci do uszka, bo ja nie tylko czytając wasze listy i pisząc odpowiedzi, myślą jestem z wami; często i bardzo często myśl moja goni was w przeróżnych dalekich i blizkich stronach i nigdy nie zapominam o drogich korespondentkach moich. Gruchaj więc często kochana Turkaweczko do życzliwej ci Jaskółki. Łamigłówniki i szaradę złożyłam w Redakcyi.

Zaraz po otrzymaniu twego listu Wieśniaczko posłam z twem poleceniem do Redakcyi i tak zaginione dodatki, jak i wybrane książki zostały ci posłane. Za dobre życzenia dziękuję i tobie życzę nawzajem, by ci się wszystkie pragnienia ziściły i byś od czasu do czasu darzyła mnie dowodami swej pamięci, w postaci zajmujących liścików.

Odpowiedź moja trochę spóźniona Wróżbiarko Szczęścia, ale takie mnóstwo odbieram ciągle listów, że kolejno na nie odpisywać muszę, bo nie mam zbyt wiele miejsca na swą korespondencję. Wybacz więc, droga moja, i dzięki tobie za te serdeczne słowa i myśli, które w twym odnalazłam, a które utwierdzają mnie w przekonaniu, że zawsze jesteś tą samą dobrą i kochaną przyjaciółką, za jaką cię od tak dawna uważam, a wierzę mi, że odpłacam ci równie serdecznym uczuciem. Rozumiem dobrze, że przy twych zajęciach tak licznych nie masz czasu na częste listy, milczenia więc twego nigdy na złe nie tłumaczę, a gdy list przyjdzie, cieszę się tylko i odczytuję go po razy kilka. Wspominasz mi, że lubisz pisać, że dzieci z zajęciem powiastek twych i opowiadań słuchają, czy ze mną nie chcesz się podzielić twymi myślami? Gdybyś przysłała mi kiedy kilka kartek do przejrzenia, byłabym rada i wdzięczna. A przecież masz zaufanie do bardzo ci życzliwej —

Jaskółki.